ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. Lutego. № 7. Roku 1856.

RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 1. 2. 3. 4. 5. 6. Rozmaitości.)

Zaledwie wyrzekła matka Teerlink te ostatnie słowa, dał się słyszéć głos słodki i czuły z za opony łóżka wołając:

— „Matko! dobra matko!“

Ta nazwa i głos, jakim ją wymówiono, musiały wywierać jakiś czarowny wpływ na staruszkę, gdyż oczy jéj zabłysły radośném wzruszeniem; co prędzéj chwyciła lampę i szklankę mléka rozpuszczonego wodą i pobiegła do łóżka.

Chory spoglądał na nią wzrokiem tak pełnym miłości i wdzięczności, że staruszka odwróciła głowę, by otrzeć łzę rozczulenia. Młodzian ujął jedną jéj rękę, wycisnął na niéj długi pocałunek i powtórzył znowu:

— „Dobra matko!“

Teresa pragnęła mocno ujźrzéć twarz chorego i serce biło jéj gwałtownie, a gdy wreszcie młodzieniec zwrócił na nią swe zapadłe oczy, zadrzała ze strachu i popchnęła krzesło, jak gdyby chciała uciekać przed zjawiskiem grobowém.

Chory objął za szyję swoją dobrodziejkę, przyciągnął ją do siebie, i zapewne szepnął jéj coś do ucha; gdyż staruszka zdjęła natychmiast jego suknie, złożyła je na łóżku i spuściła zasłonę. Potém powróciła do stołu i szepnęła z radością do Teresy drżącéj jeszcze ze strachu:

— „Będzie się ubierał!“

Ale wiadomość ta niezdawała się wcale uspokajać sąsiadkę, gdyż zbladła i spojźrzała ku drzwiom wzrokiem pełnym trwogi. Bez wątpienia naglił ją przestrach opuścić izbę przed pojawieniem się młodzieńca; ale ciekawość kobiéca przykuwała ją do krzesła. W kilka chwil potém odchyliła się zasłona łóżka. Matka Teerlink pobiegła do chorego, pomogła mu wstać z łóżka i wspiérała kroki jego aż do stołu.

Ten żyjący szkielet byłżeby to ów młody wieśniak, którego znamy? Tak jest, to on, niestety! Kości wystają z za skóry niemającéj żadnéj cery; oczy zapadłe głęboko w dołkach, plecy zgarbione, głowa bezwładnie pochylona na bok. Suknia jego, a raczéj łachmany wytarte i nędzne przystałyby chyba żebrakowi. Cóż się z nim stało?

Stanął przed rozczuloną staruszką, wziął jednę jéj rękę w obie dłonie i spoglądając na swą dobrodziejkę, z czułością prawie dziecięcą rzekł:

— „Dobra matko, chciałbym wyjść. Może sprawi ci to przykrość?“

— „Janie, moje dziécię“ — odrzekła staruszka — „jesteś jeszcze tąk osłabiony! Mógłbyś upaść.... i pomyśl, jak byłabym niespokojną!“

I zmartwienie staruszki wyryło się tak głęboko na jéj pomarszczonéj twarzy, że Jan wzruszony aż do głębi serca spojźrzał na nią z wyrazem największéj słodyczy i rzekł:

— „Matko, za cóż mię tak kochasz? Dobrze, bądź moim aniołem — stróżem! Czego nikt niemógł dokazać, może dokaże bezinteresowna miłość ubogiéj kobiéty. Szlachetne serce! u schyłku żywota pozostało ci jeszcze tyle czułości, że możesz osłodzić życie takiéj nieszczęśliwéj istocie jak ja, i wyzwolić ją z największéj rozpaczy... O! błagam Boga o błogosławieństwo dla ciebie! i osądź moją wdzięczność, dobra matko: byłato piérwsza prośba, którą od lat siedmiu zdołałem z szczérą pobożnością zanieść do nieba!“

Młodzian wymawiał te słowa z dziwném natchnieniem i rozczulający głos jego zrobił głębokie wrażenie na Teresie; jéj obawa znikła już zupełnie, i z zadziwieniem i rozwartemi szeroko oczyma słuchała głosu młodego człowieka, głosu, który ją zachwycał jak czarująca harmonia. Matka Teerlink spoglądała na nią zapytającym wzrokiem i zdawała się mówić: — „A — cóż teraz powiesz o moim synie? czy nazwiesz go szalonym?“ — Ale Teresa słuchała ciągle z największém rozczuleniem nawet wtedy jeszcze, gdy Jan przestał już mówić.

— „Biedny chłopcze“ — rzekła staruszka — „nietrać odwagi! Ja biedna i stara, to prawda; ale jeźli zechcesz zostać przy mnie, będę cię zawsze kochać i pracować dla ciebie od dnia do nocy.“

Młodzian poniósł do ust rękę staruszki, ale nic nieodrzekł.

— „Janie,“ — rzekła matka Teerlink z czułością — „jeźli chcesz koniecznie wyjść, niepozbawiaj się téj przyjemności dla mnie; ja pójdę z tobą.“

— „Dobra matko,“ — odrzekł Jan głosem błagającym, — „ja chcę wyjść, ale ja muszę wyjść sam. Moja głowa pała, samotność przyniesie mi ulgę. Jutro, dobra matko, powiem ci, kto jestem i jaki ból niesłychany zatruł mi życie. Dozwól mi wyjść i pozostań tu spokojna; za godzinę najdaléj powrócę.“

Matka Teerlink podała Janowi swoje własne kule, sprowadziła go ze schodów i szepnąwszy mu jeszcze kilka słodkich wyrazów do ucha zamknęła drzwi za nim.

Młody chory szedł chwiejącym krokiem wzdłuż domów śród ciemności; opiérał się na kulach, które mu dała staruszka i wnet począł ciężko oddéchać z utrudzenia. Zapewne dążył do pewnego już celu, gdyż niewahał się wcale w wyborze ulic. Od czasu do czasu

przystawał na chwilę, by wypocząć, poczem szedł znowu daléj, aż wreszcie przybył do placu Meir. Tu zbliżył się pod kamienice i przesuwał się z cicha śród ciemności jak szpieg lub złodziéj. Wkrótce jednak zatrzymał się przy zamkniętych oknach jakiegoś wspaniałego pomieszkania, oparł się łokciem o gzyms kamienny i zaczął zazierać do środka przez okienice. Wnętrze pomieszkania było oświecone, gdyż promień światła padał na twarz młodzieńca, który postawszy jakiś czas na czatach uległ wreszcie utrudzeniu i jak nieżywy opuścił głowę na przedmurek okna.

IX.

W bogatym salonie, o którego okno oparł głowę znużony młodzieniec, znajdowało się dwie osób. Kapitan van Milgem siedział w fotelu aksamitnym obok marmurowego kominka; zdawał się być pogrążony w głębokiém zamyśleniu, gdyż wzrok jego utkwiony był nieruchomie w połyskującą posadzkę salonu. Przy stole, na którym stała srebrna szkatułka, siedziała młoda dziewica zajęta nawlékaniem pereł. Twarz jéj, nadzwyczaj blada, nosiła na sobie wszelkie ślady długiego smutku i tęsknoty, a przyćmiona białość jéj lic odbijała jeszcze bardziéj, gdy za najmniejszém poruszeniem głowy zetknęły się z niemi długie, czarne jak heban jéj loki. Po długiém milczeniu zanuciła dziewica cichym głosem jedną zwrotkę piosnki *Rik — tik — tak.* To niepodobało się widocznie kapitanowi, gdyż potrząsł smutnie głową i rzekł do córki:

— „Moniko, nieśpiewaj ciągle téj piosnki, to podsyca twój smutek, — a ty wiesz, jak mię to martwi.“

— „Mój Boże, czyż ja śpiewałam?“ — zawołała zdziwiona Monika. — „Ja niewiem nic o tém, mój ojcze; przebacz mi moje roztargnienie.“

— „No i cóż,“ — zapytał kapitan — „czy sakiewka będzie wnet skończona? Biedny Adolf, jaką radość sprawi mu twój podarunek! On cię tak kocha!“

— „Gdzież on może być teraz?“

— „O! to trudno wiedziéć. Któż wié, czy nieleży w jakim szpitalu, lub czy kula nieprzyjacielska niedosięgła go na polu sławy?“

— „O nieba! ty mię przerażasz, mój ojcze!“

— „Przerażam cię? Czyż tak mocno obchodzi cię los jego, Moniko?“

— „Ja go kocham jak brata.“

— „Powinnabyś go kochać inaczéj, Moniko. On godzien tego w każdym względzie: to przystojny młodzian, posiadający to wszystko, co nadaje wartość mężczyznie w oczach kobiéty. A zresztą był on wybawcą twego ojca w krwawéj bitwie pod Drezdnem. Jeźli miłość niemoże znaleźć drogi do twego serca, to wdzięczność powinna cię nakłonić, byś usłuchała méj rady, uległa mym prośbom i ofiarowała mu nagrodę za jego szlachetność i za jego miłość.“

— „O mój ojcze, spojźrzyj tylko na mnie! Cóż mogłabym ofiarować Adolfowi! W mém sercu niema miejsca dla nikogo obok méj miłości dla ciebie. Nie-

czuła małżonka! Czyż mam go unieszczęśliwić moją obojętnością? Mężowi potrzeba więcéj do szczęścia niż zimnéj przyjaźni.... Zresztą ja czuję nieprzezwyciężony wstręt do wszelkiego związku, któryby mię pozbawił méj wolności.“

— „Jakiéj wolności, Moniko? Wolności dumania i marzenia? Dałby Bóg, żebyś ją postradała, tę wolność, która cię niszczy i pozbawia zdrowia! Pomyśl tylko, moje dziécię, gdy zamieszkamy w naszéj wiosce w pobliżu Moll, jak szczęśliwą byłabyś mając u boku przyjaciela, z którym biegałabyś po ulubionym stepie, który odwiedzałby z nami dąb, i mały strumyk, któryby był towarzyszem naszéj samotności! gdyż wszystko to moje dziécię, jest zimne i martwe, jeźli go nieożywia żadne uczucie; serce usycha z tęsknoty, jeźli niemoże przelać się w drugie serce.“

— „Mój ojcze, to może być prawda; ale Adolf niejest-to dziécię stepu. Czyż rozumiałby on, co znaczy melancholiczny skrzek konika polnego? Czy będąc dzieckiem igrał choć raz pod cieniem czarnych jodeł? Step, pusty jak morze, i niebo, które go okrywa swém nieprzejźrzaném sklepieniem lazurowém, czyż niewydawałyby mu się jednostajne, jemu dziécięciu górzystego kraju? O! tak, przyznaj to sam, mój ojcze; między mną i moim stepem byłby to cudzoziemiec, któryby nierozumiał naszego języka.“

Słowa Moniki niepodobały się ojcu; twarz jego przybrała wyraz smutku, i zwracając się zupełnie do swéj córki, rzekł wzruszonym głosem:

— „Moniko, moje dziécię, toż prośby twego ojca niewywierają żadnego wpływu na twoje serce? Przez dwa lata błagałem cię o względy dla Adolfa; przedstawiałem ci jego piękność, jego odwagę, jego szlachetny charakter, by obudzić w twém sercu uczucie przywiązania; powiedziałem ci, że ocalił życie twemu ojcu pod Drezdnem z ofiarą własnéj krwi swojéj, — i żądałem jako nagrody dla mnie i dla niego, byś dogadzając życzeniu memu przywiązała go do naszéj rodziny uroczystym węzłem. Ty odmówiłaś to i odmawiasz jeszcze. Dlaczego? By się oddawać swobodnie tym nieszczęsnym marzeniom, które cię zaprowadzą do grobu! Dlatego, iż go niekochasz? Ależ on nieżąda od ciebie miłości.“

Monika spojźrzała na swego ojca z zadziwieniem i powtórzyła:

— „On nieżąda miłości! A czegoż chce ode mnie?“

Kapitan odrzekł z wzrastającym zapałem:

— „Moniko, ty zmuszasz mię nakoniec powiedzieć ci pewną rzecz, którąby nigdy z ust moich wyjść niepowinna. Posłuchaj więc i podziwiaj człowieka, którym gardzisz. Od kilku już lat, Moniko, ty zbliżasz się szybkim krokiem do grobu; nigdy wzrok mój niespocznie na tobie, moje drogie, jedyne dziécię, bym niewidział śmierci u twego boku. Pewność, że cię mam stracić, rozdziera serce moje oddawna; ten miecz wiszący nad moją głową ukróca i mnie życia, i znoszę niewysłowione cierpienia. Otworzyłem przed Adolfem moje zbola-

łe serce; powiedziałem mu, że pozostaje tylko jeden jeszcze środek, by cię uwolnić od tych tajemniczych i fatalnych marzeń, by cię ocalić od nieochybnéj śmierci. Ja sam, ja twój ojciec, prosiłem go, by ci okazywał miłość i żądał twojéj ręki; on zaś, będąc już wybawcą ojca, chciał także ocalić jego córkę. Trafiała mu się inna partya: majątek, zaszczyty, piękność, jego narzeczona posiadała wszystko, a przecież on idąc za popędem swéj szlachetności, zrobił ofiarę z siebie i zerwał ten związek, by wyświadczyć mnie i tobie nieocenioną przysługę. Młodzian ów przystojny i zacny, któremu uśmiechał się świat cały, postanowił połączyć swój los z życiem chorowitéj i nieczułéj dla niego dziewicy; wyrzekł się nadziei, że osiądzie kiedyś z swą podeszłą matką pośród tych gór, w których się urodził, by towarzyszyć nam do bezludnego stepu. A wszystko to dlatego, by ci ocalić życie, tobie, która nim gardzisz, i jak anioł-stróż odganiać śmierć od ciebie! Moniko, takie poświęcenie czyż nieobudza w tobie nic więcéj prócz uczucia wdzięczności? Czy zerwane już są wszystkie struny twego serca, że niemożesz mi nic innego odpowiedzieć, jak tylko to *nie* i *nie* zabijające?“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŚWIĘTA PIELGRZYMKA

Mahometanów do Mekki drogą na Egipt.

(Dokończenie. Ob. Nr. 6. Rozmaitości.)

Gdy pielgrzymi wracają już do Kairu, wysyła Emir Ul Hadi z obudwu zamków Akabeh i Nekel kuryerów, by oznajmić Baszy i Bejom ich przybycie. Wówczas wysyłają do Azlemu o dwa dni pierwéj, nim karawana przybędzie do téj stacyi, urzędnika dworu z poleceniem, by Emirowi i podróżnym dostarczał wszelkiego rodzaju chłodników. Misya ta, uważana za szczególną łaskę, nadaje urzędnikowi temu tytuł Baszy Azlemu.

Urzędnik ten zabiéra także wszelkie zapomogi, które krewni posyłają podróżnym. Dla obrony towarzyszy mu eskorta i banda muzyczna na dwunastu wielbłądach. Jedni biją w bębny, drudzy grają na trąbach i cymbałach, inni nakoniec na Tamtamie i Darbouce; okropna to muzyka, a przy wjeździe do Kairu wzmaga się przeraźliwy huk jéj do najwyższego stopnia. W piérwszych dniach miesiąca Pafer, który zwie się także Kesstel-el-hadży czyli przybycie pielgrzymów, i przypada przy końcu naszego miesiąca marca, rozbija karawana nakoniec swój obóz u stóp Makatamu, pod murami tak zwanéj El-Mahroussek, *strzeżonéj* (przydomek Kairu); tu przepędza noc by nazajutrz o wschodzie słońca odbyć uroczysty wjazd bramą Bab-el-Foutouh, i by mieszkańcom zostawić dość czasu do należytego przygotowania się na przyjęcie świętych pielgrzymów.

Aż do saméj puszczy wychodzą rodzice i przyjacioły z żywnością i chłodnikami naprzeciw swoim; jakaż tam radość, gdy drodzy krewni powrócili w dobrém zdrowiu! Ale niekiedy zatruwa tę radość żal i smutek tych, którzy musieli dowiedzieć się o zgonie syna, ojca lub małżonka.

Wyobraź sobie czytelniku jeden z owych przecudnych wieczorów w marcu, kiedy na południu wszystko już w kwiecie, jaźmin, ró-

że, pomarańcze, palmy i mimozy; wyobraź sobie rozległą równinę — tuż pod bramami miasta pełnego blasku i wrzawy — oblaną aż po widokręg światłem księżyca i okrytą tysiącami ludzi i zwierząt! Niemożna widzieć nic piękniejszego nad ten obóz nocny, ten malowniczy nieład, te cudowne obrazy, których grupy i światło, cienie, kontrasty zdają się wyzywać wszystkie siły jeniuszu malarskiego. Ognie, namioty, wielbłądy, muzyka, dziwaczne modły pielgrzymów, ich pstre ubiory i postacie, a do tego czarujące wrażenie nocy, wszystko to stanowi obraz, którego ani opisać ani odmalować niepodobna.

Z piérwszym brzaskiem dnia wstają pielgrzymi, dzielą się na kolumny i wyruszają w pochód ku miastu. Idźmy za nimi i przysłuchujmy się ich rozgłośnym śpiewom.

Ze wschodem jutrzenki oznajmia salwa działowa z cytadeli całemu miastu, że pielgrzymi już wstają; natychmiast wyruszają Baszowie na czele wojsk, Szeiki, Kadi, Ulemowie, Imamy z chorągwiami meczetów i rozmaite korporacye naprzeciw karawanie, i formują szpaler dla niéj. Na czele jedzie na dromedarze sternik karawany, przewodnik pielgrzymów. Jest-to starzec z siwą brodą, nagi po pas, z ogoloną i pomimo skwaru słonecznego odkrytą głową. Od dwudziestu już lat a nawet i dłużéj wodzi on corocznie pielgrzymów, i w ciągu całéj tej długiéj podróży, to jest w ciągu trzech miesięcy porusza ciągle głową w prawo i w lewo, jak owe chińskie figurki z porcelany. Poruszenie to, które robią także Derwisze Rufayscy w czasie modłów, podnosi wyraz pobożności; dlatego jest starzec ten także doskonałym Santonem (rodzaj mnicha muhamedańskiego), a lud z podziwieniem patrzy na niego i wzdycha gorąco do jego orędownictwa u Ałły i do jego amuletów. Dokoła niego wloką się na swych wielbłądach muzykanci po największéj części murzyni, bijąc w kotły i grając na trąbach. Daléj postępuje dwadzieścia wielbłądów Mahometa, okrytych przepysznemi czaprakami z aksamitu, tkanego złotem i jedwabiem różnego koloru. Wielbłądy te służą na pamiątkę owych dwudziestu dromedarów, które Prorok w dziewiątym roku Hedżyry wysłał z trzystu sługami i urzędnikami swego dworu, by towarzyszyli pielgrzymom do Mekki. Daléj postępuje święty wielbłąd, tak zwany Mahmil, czyli zwierzę do jazdy, z przepysznym narzędem; wielbłąd ten przedstawia owego dromedara, który nosił zwykle tak zwany Mahfil, krzesło Emira, w jego podróżach i wyprawach wojennych; obok niego idzie zwykle dla kompletu drugi wielbłąd; obadwa mają pochodzić w prostéj linii i bez zmieszania od świętego dromedara, na którym jeździł Mahomet. Za niemi idą wielbłądy z relikwiami: daléj inne ozdobione w gałązki palmowe, zapewne dla uproszenia od Boga dobrego żniwa; jeszcze inne nakoniec z palankinami czyli lektykami, w których ukrywają się niewiasty, lub téż z chorągwiami, przedstawiającemi barwy meczetów.

Około karawany uwijają się oficerowie i urzędnicy Baszy w złocistych szatach na swych pięknych rumakach, trzymając w ręku długie lansy ozdobione strusiemi piórami, których używają nakształt dzirytów, a które tak są giętkie, że za silném wstrząśnieniem w połowie stykają się ich końce. Za końmi postępują pieszo wszystkie korporacye z swemi godłami; rybacy niosą siecie i girlandy z ryb; ogrodnicy kwiaty i owoce. Dodajmy do tego jeszcze licznych Santonów w najdziwaczniejszych kostiumach, obwieszonych ogromnemi różańcami i amuletami wszelkiego rodzaju; daléj derwiszów i psyllów z wężami, a nakoniec niezliczony tłum pielgrzymów wszelkiego rodzaju, wszelkiéj barwy i stroju; gdyż równocześnie reprezentują tu Afrykę, Azyę i Europę najrozmaitsze typy. Tu widać murzyna z nad sinego Nilu, owdzie Araba z Hedżaz lub z Oazy Hammon, Maugrebinów i Mekjanów w czerwonych turbanach z żółtemi pręgami jak mumie grobowe; Nubijczyków okrytych szerokim blado-żółtym płaszczem, jak

Egipcyanie z czasów Rhamsesa; czarnych Gallasów i Kaffrów sinéj cery; mieszkańców Dongoli, Sennaaru, Dar-Fura i Kordofanu, Syryaków w białych lub czerwonych Abajach, tkanych złotem i purpurą lub w szerokie pasy różnego koloru; Abessynów bronzowéj cery z włosem plecionym jak u królów pyramid; mieszkańców Kaukazu, Ukrainy, Berberyi i Algieru, Marokanów, Turków, Persów, Żydów, Ormian, Greków i Franków. Któż zdoła opisać blask tych kolorów i rozmaitość tego widoku? Barwa żółta, biała i błękitna górują w tych kostiumach i sprawiają bardzo miłe wrażenie. Zresztą wyznać trzeba, że najlichsza szmata wygląda pod tém niebem zawsze jeszcze daleko świetniéj, niż purpura w naszym posępnym klimacie.

Różnorodny tłum ten, upojony radością i fanatyzmem, rzuca się potém wrzeszcząc i tańcząc w krete ulice Kairu i postępuje tak aż do cytadeli, gdzie Morydedżi-Basza, czyli sprawozdawca dobrych wiadomości, doręcza Baszy list Szerifa Mekki, jako odpowiedź na jego pismo, a Surreemini czyli intendant skarbu składa rachunek z swego zarządu. Potém rozprószają się wszyscy po mieście dla odprawiania modłów w głównych meczetach, jako to w meczecie Citty Zenab, mającym sławę największéj świętości, w meczetach El-Azar, El-Hassan i kilku innych. Powszechném miejscem nowego zebrania jest wielki plac Esbekich, gdzie równocześnie odbywają się święte i światowe mysterya, gdzie odprawiają modły i grają komedyę, gdzie mieszają się z sobą religijne i sprośne tańce. Tu łączą się uciechy i rozkosze wszelkiego rodzaju; wspaniałe, oświetlone namioty meczetów, rubaszne ceremonie wyjących derwiszów, i owe komiczne zabawy i sceny miłosne, przypominające poniekąd misterya Izydy. W ciągu tego czasu przepełnione jest miasto Fakirami, którzy odgrywają niemałą rolę w téj dziwacznéj panoramie obyczajów. Nietrzeba jednak Fakirów mieszać z Derwiszami. „Fakir“ znaczy po arabsku „ubogi“, w znaczeniu żebraka; „Derwisz“ zaś jest-to wyraz perski, i wyraża wprawdzie także ubóstwo, ale w znaczeniu nizkości i pokory. Większa cześć tych Fakirów, mających u ludu sławę świętości, uwija się całkiem nago po mieście lub stoi w tym samym stanie u drzwi meczetów nieobudzając najmniejszego zdziwienia ni wstrętu. Co więcéj, ludzie cisną sie do nich, by u nich jakoby u wyższych istot zasięgać rady lub uprosić wstawienia się ich do bóstwa, albo nakoniec by im oddawać tę szczególną cześć, jaką niewiasty Grecyi składali z taką samą prostotą i naiwnością Bogowi ogrodów. Najszczególniejszą jednak ze wszystkich tych scen fanatyzmu jest sławna ceremonia Doussehu, gdy kaznodzieja wielkiego meczetu El-Hassan wsiada na konia po kilkudniowéj samotności i odwiedza naczelnika wszystkich Derwiszów.

Festyny te trwają dziesięć dni i dziesięć nocy, w ciągu których wszystkie meczety i domy, kawiarnie i ulice zdobią się w przepyszne dywany, pająki, żyrandole i w lampy wszelkiego koloru. Zwyczaj ten, wieszać pająki i chorągwie w ulicach, obchodzą także w Wenecyi w czasie Sagry, czyli uroczystości parafii kościelnych. Cukiernicy oblegają wszystkie przystępy do placu, a kramarze, tancerze i muzykanci rozbijają swe namioty po wszystkich rogach i kątach. Z końcem dnia, po salwie pięćdziesięciu wystrzałów działowych, oświetlają sie ulice, meczety, kawiarnie miasta i plac Esbekich tysiącem czerwonych, białych, niebieskich i zielonych ogni; patrząc z daleka na drzewa i ziemię, zdobne w błyszczące kwiaty i przezroczyste owoce, zdaje się, że to gaj czarodziejski, a ktoby śród ciszy nocnéj przysłuchał się ze znacznego oddalenia téj wrzawie pielgrzymów upojonych modłami, ten pojąłby pewno, że tak zwany Mouled, to jest festyn urodzin Proroka, jest jedno z najciekawszych ceremonii, jakie widzieć można.

Nim opiszemy dziwo Doussehu (wyraz arabski Dousseh znaczy: „stawać pod nogi“) powiemy jeszcze nieco o śmiesznych ceremo-

niach Derwiszów Rufayskich. Chociaż i w Konstantynopolu można widzieć wyjących derwiszów i powziąć niejakie wyobrażenie o nich, to przecież tylko tu można zrozumieć dokładnie ten stan odurzenia i chwilowego szału, w jaki wpadają mieszkańce oryentu. Nieraz widzieć można tłumy liczące cztery do pięć tysięcy osób, zajmujących się pod gołém niebem temi epileptycznemi tańcami i dziką wrzawą, która obcego widza wprawia w zdumienie graniczące ze zgrozą. Wszystkie lwy, tygrysy i lamparty Sahary i całéj Afryki niebyłyby w stanie może sprawić takiego zamieszania lub wykonywać dzikszych i okropniejszych skoków.

W ciągu tych festynów więc, śród rozdrażnienia wszelkiego rodzaju i śród zapału, jaki obudzają w pospólstwie powieści pielgrzymów o cudach świętego miasta, odbywa się z wielką pompą ceremonia Doussehu. Tak zwany Katib, czyli kaznodzieja wielkiego meczetu El-Hassan, przepędziwszy kilka dni na samotném rozmyślaniu, udaje się na czele pielgrzymów do domu El-Bekri przez wielki plac Esbekieh, na którego wschodnim końcu ten dom się znajduje. Jedzie na białym koniu, osłonięty płaszczem z białego kaszmiru a sędziwą głowę jego okrywa gruby turban z zielonego muszlinu, ozdobiony we środku srebrną zawiązką.

Tak otoczony chorągwiami i w towarzystwie dwóch Czausów, którzy trzymają jego konia, jedzie wolnym krokiem naprzód. Na kilka minut przed przybyciem jego do meczetu powstaje śród tłumu wielki szmer, procesya zatrzymuje się, i wnet zaczynają najdziksi z pomiędzy fanatyków kłaść się brzuchami na ziemię tak gęsto jeden obok drugiego, że tworzą tym sposobem niejako gościniec z grzbietów ludzkich aż do samego meczetu. Kilku Derwiszów, idących przodem obok Katiba, postępuje bosemi nogami, bijąc w małe bebenki zwane Bazes, tym szczególnym gościńcem; za nimi idzie koń Szeika, który po niejakiém wahaniu, wiedziony przez obudwu Czausów, wstępuje również na tę żyjącą kładkę i przechodzi po niéj, a żaden z tych dobrowolnych męczenników ani jęknie pod naciskiem jego kopyta. Prawda, że przez cały ten czas wykrzyknje lud swoje „Ałłah il Ałłah“ z taką wściekłością, że wszelki jęk boleści musiałby się zgubić śród tego wrzasku. Jak tylko koń przejdzie, powstają ci szaleńce i gubią się śród tłumu, i nikt więcéj nietroszczy się o nich.

Ceremonię tę uważa lud za szczególnie cudowną, mniemając, że Szeik Derwiszów za powrotem z świętéj pielgrzymki uzyskuje cudowną władzę i może przejeżdżać po ludziach niesprawiając im żadnego bólu. Dawniéj doświadczano tego cudu na flaszkach, z których, jak opowiadają, ani jedna niezostała uszkodzona. Teraz jednak zarzucono téj próby, zapewne dlatego, iż mogła łatwo się nieudać. Ci którzy wszystkiego dochodzą swym rozumem, utrzymują, że koń jest niekuty i przyzwyczajony do takich igrzysk. Bądź co bądź jednakże, zdarza się przecież często, że niejednego z tych fanatyków odnoszą bez przytomności a może i bez życia z placu. Większa część jednakże powstaje sama, a tłum przyklaskuje im śród głośnych okrzyków. Zresztą scena ta, jakkolwiek szczególna jest i przerażająca, niewięcéj zadziwia od téj, gdy Santoni w najwyższym stopniu swego zachwycenia religijnego kładą sobie na piersi i język rozpalone żelazo. Eksaltacya, jak wiadomo, dokazywała zawsze cudów. A zresztą wyjaśnia dziś wiele rzeczy nieczułość sprawiona zapomocą eteru, chloroformu, haszyszu i t. p.

Te napół święte, napół światowe uroczystości Proroka w Kairze zwabiają mnóstwo cudzoziemców; i w istocie jest-to najlepszy czas do odwiedzenia stolicy Egiptu. Wtedy bowiem można poznać dokładnie i w całéj właściwości religijnéj fanatyzm oryentu, a przedewszystkiém tę tak ważną i świętą pielgrzymkę do Mekki.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*